ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I. Warszawa, dnia 5 czerwca 1909 r. № 23.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

12

Powieść historyczna.

W pałacu powitała go obojętna cisza. Nikt z kręcącej się przed podjazdem służby nie uhonorował dziedzica Kielm, nawet hajduk w antykamerze—jakby go nie spostrzegł. Nadomiar, w komnatce stół nakryty do obiadu zapowiadał mu, że nikt nie myślał kwapić się z zaproszeniem Grużewskiego na pokoje.

Juliusza rozdraźnienie zdjęło. Zmierzył gorączkowemi krokami wzdłuż i wszerz swą komnatkę, targnął za taśmę dzwonka i marszałka dworu wołać kazał.

Szamotulski zjawił się niebawem.

— Czyś pan zameldował pani podkomorzynie, iż pragnę podziękować jej za gościnę?

— Najakuratniej. Pani podkomorzyna jest niedysponowaną i ten... ponieważ pan jeszcze nie wyjeżdża...

— Wyjeżdżam w tej chwili!— uniósł się Grużewski. — Ani godziny dłużej zabawić nie mogę!

Marszałek skłonił się zimno. Juliusz ochłonął i wykrztusił kilka słów żalu, iż niedyspozycya pani podkomorzyny nie pozwala mu stawić się przed jej obliczem.

— Powtórzę najakuratniej! Więc po obiedzie...

— Nie, natychmiast! Proszę posłać do moich ludzi, aby zajeżdżali!

Szamotulski wyszedł z komnatki. Juliusz odsapnął z ulgą.

Dobrze uczynił, tak należało, tak trzeba było. Urażą się, krzywić będą, dociekać, tem lepiej. Ani minuty dłużej, ani sekundy.

Jeszcze, gdy Stałgajtys nadszedł puzderka zbierać a tobołki podróżne układać, jeszcze Grużewski wrzał poczuciem swej słuszności, jeszcze tysiąc argumentów miał na to, że tak właśnie powinien był postąpić. Lecz gdy pokojowiec zapowiedział mu, że nejtyczanka czeka przed pałacem, naraz pewność siebie zaczęła odbiegać młodzieńca, racye co najtęższe padać w gruzy, zapalczywość niknąć. Jeszcze progu gościnnej komnatki nie przestąpił, jeszcze kąciki jej przezierał, a już do nich tęsknił, już ich żałował, już wyrzucał sobie żakostwo, brak rozwagi, nieprzystojność zgoła.

Grużewski zmógł się, głowę wtulił w ramiona i ruszył korytarzem do antykamery, do podjazdu.

W antykamerze, gdy poprzez otwarte na ganek drzwi czwórka siwków pozdrowiła go ochoczem parskaniem, gdy ostatniego pokojowca-natręta miał minąć, cichy, harmonijny głos spiorunował go, osadził w miejscu.

— Pan odjeżdża? Tak nagle?.. Ciocia pragnęła, aby pan wypoczął jeszcze!

Juliusz pochylił się, zgarbił i jął wymawiać się niezręcznie gwałtownemi sprawami.

— W takim razie, w powrotnej drodze z Landskorony może pan będzie pamiętał. Ciocia prosi bardzo i ja również. Wszak droga znów na Liksnę wypadnie...

— Bardzom rad, bardzo!.. Właściwie, nie miałem sposobności podziękować za tyle dobroci...

— To ja raczej winnam dziękować panu.

Grużewski podniósł głowę. Twarzyczka hrabianki uśmiechnęła się doń przyjaźnie. Juliuszowi w oczach pojaśniało.

— Wszak to z mej przyczyny—kończyła cicho Emilia — przytrafiło się panu... i dwukrotnie...

— Nic z mej strony, krom niefortunnych intencyi.

— Wolno je panu mieć za niefortunne, dla mnie szlachetnemi są nadewszystko.

— Pragnąłbym ich dowieść pomyślniej, — odparł z naciskiem Grużewski.

Emilia zaszeleściła niepewnie trzymanym w ręku zwitkiem papierów.

— Gdyby pana nie utrudziła mała prośba... Pan Marcin Karnicki

wypada nam krewnym, podwójnym nawet. Raz przez babkę, Mohlównę, podstolankę, i drugi raz przez żonę, Borchównę, starościankę. Chciałabym przesłać im te oto gazetki. W Landskoronie, jak zresztą wogóle na Inflantach, trudno o nowiny, niezmiernie trudno. A tu są ważne, bardzo, bardzo... Trzeba, żeby i tam wiedzieli, żeby i tam...

— Najchętniej spełnię...

Hrabianka zaniepokoiła się raptem i przystąpiła bliżej do Juliusza.

— Tak—szepnęła—ale nikt tych gazetek i papierów nie powinien widzieć w pańskich rękach! Nikt! Są między niemi takie, które mogłyby przyprawić pana o utratę wolności... i nie pana tylko.

Oczy Grużewskiego łysnęły. Emilia dostrzegła w nich powątpiewanie, bo przekonywała dalej:

— Niech je pan sam przeczyta, chciałabym nawet, żeby je pan przeczytał... Z tych nowin i dla pana i dla wszystkich pragnących wiele doniosłego. Wypadki zbliżają się ku nam, nadchodzą. Należy czynić, należy zabiegać, aby nas zastały przygotowanymi. Całą Europę płomień ogarnął. Za rok, za dwa, może wcześniej, nas dosięgnąć gotów. A tu głusza, nieświadomość nawet tego, co dzieje się tuż prawie.

Emilia mówiła jeszcze. Juliusz słuchał z natężeniem, ścigał każde poruszenie jej ust, napawał się jej głosem, gorzał pod tchnieniem jej oddechu.

Hrabianka umilkła raptownie. Oczy jej spojrzały lękliwie na Grużewskiego i skryły się pod firankami długich, jedwabistych rzęs. Juliusz zmieszał się.

— U nas, w Rosieńskiem — podjął z trudem Juliusz—rozpowiadają wiele o tem wszystkiem, lecz sprzeczności co niemiara...

— Jak w każdej wieści, ale tu, w tych papierach, wszystko niezawodne. Powiem panu całą prawdę... Jeden z generałów potwierdził mi je co do joty. Wojsko gotuje się do wymarszu na poskromienie rewolucyi belgijskiej. Byłoby podobno już w drodze, gdyby nie odgłosy, nadchodzące z Warszawy. Tak powiadał mi generał...

Juliusz zgarbił się. Oczy mu przygasły. Twarz przymusem wionęła.

— Generał!—powtórzył głucho.

Hrabianka wręczyła mu zwitek papierów i rączkę na pożegnanie wyciągnęła.

— Więc w powrotnej drodze z Landskorony, prosimy pamiętać!

Juliusz skłonił się, dotknął niezgrabnie paluszków Emilii i zawrócił na ganek.

Nejtyczanka wypadła, jak burza, z pałacowego obejścia i potoczyła się szerokim gościńcem.

Myśli Grużewskiego rwały tymczasem bezładnie a zapamiętale, jak unosząca go czwórka siwków, która, po długiem zastaniu, z wiatrem iść chciała w zawody, a lejcom wymawiać posłuszeństwo. Ale może, jak ta czwórka siwków, trafiły na skraju Liksny na wyboje i wyrwy ciężkie, mozolne do przebycia, dwojące ciężar nejtyczanki, bo, jak ta czwórka siwków, jęły coraz równiej sunąć, coraz spokojniej.

Wielką uprzejmość mu okazała, nawet pamięć... nawet przyjazną skłonność. Zaprosiła, i nie z grzeczności samej, bo drugi raz przypomniała mu jeszcze. Zresztą polecenie samo—wszak i ono znaczy, bo zadzierzga ogniwo... Tak, źle, stokroć źle ją sądził. W tem, co mówiła, mnóstwo dziecinnej przesady, podniecenia naiwnego, niedowarzonego, ale szczerego, prawdziwego. Generał! Hm! On jeden zawadza mu, psuje czystość obrazu. On jeden—i ten kapitan dyneburgski, niemiec,—drugi. Lecz może oni właśnie .. tylko z politycznej rachuby... Kto wie! Jednak te słuchy, te wynurzenia starej piastunki! A może i teraz gra obłudna, fałsz, udanie? Bo i cożby jej było do rewolucyi, do wojen! Wypadki doniosłe! Cóż, do licha, za doniosłe wypadki? I w Warszawie! Belgię znów sobie znaleźli, do wczoraj była Turcya! Et-tam! Prawdę mówi stary Rydwin: czegoś własną garścią nie przytrzymał, tego cudzą gębą nie chwycisz! — Hm! A przecież na tej nocnej wyprawie taką była, że ani uwierzyć, ani ogarnąć. A dziś, a przed chwilą? Błahych pozorów się uczepił i oskarżył niegodnie. Kryminał wytoczył przywidzeniom.

I Grużewski jął korzyć się w sumieniu, i nową świątynię w myśli swej budować Emilii, i z mgieł srebrzystych przyszłość słać, i słać tak kunsztownie, że piękne oczy hrabianki z każdej nań poglądały gwiazdy.

Nejtyczanka podskoczyła gwałtownie na wyrwie i skręciła w bok, pod rów przydrożny.

Juliusz chciał napomnieć stangreta, lecz równocześnie ozwały się tuż dzwonki pocztowe, trójka rozczochranych łbów końskich przesunęła się i ukazała mu na chwilę szeroki powóz, a w nim, obok zamaszystej postaci wojskowego, równie zamaszysty a rozpierający się na siedzeniu bukiet.

Grużewski pobladł—tym wojskowym był Kabłukow.

Jechał do Liksny z bukietem! Czy do Liksny? Nie, nie podobna...

Juliusza wściekła determinacya zdjęła. Porwał się na równe nogi, rękami na koźle się zaparł i ścigał malejący w oddali pojazd generała. Aż pojazd zniknął mu na skręcie. Grużewski kazał stangretowi zawracać. W kilka minut dosięgnął skrętu. Pojazd znów się ukazał i rósł teraz w miarę kłusowania siwków.

Juliusz pomiarkował stangreta. Nejtyczanka iść zaczęła chyłkiem, bacząc na zachowanie przystojnej odległości, aż dotarła do miejsca, z którego widać było, jak na dłoni i Liksnę, i pałac, i drogę doń wiodącą.

Nejtyczanka zatrzymała się.

Grużewski poglądał, czekał a łudził się.

Powóz już dwa ostatnie rozszczepienia gościńca minął. Zostało mu jedno. Być może, iż i to minie i dalej gościńcem ku Dźwinie podąży... Już nadjeżdża, jużby skręcił, gdyby...

Juliuszowi w czach pociemniało.

Powóz generała Kabłukowa pędził teraz, co koń wyskoczy, drogą ku pałacowi.

Grużewski osunął się na siedzenie—śmiech krótki, skrzeczący, dobył mu się z ust i zamarł w krtani.

IV.

Niepomału zalterował się imć pan rejent Raszanowicz, gdy nazajutrz około południa nejtyczanka Grużewskiego z trzaskiem, brzękiem a łomotem zajechała przed jego ubogi a napoły w ziemię wrosły dworek.

Imć pan rejent personatów był wprawdzie zwyczajny, bo gdy sprawę graniczną Dominikanów posińskich wiódł przed czternastu laty, to pan starosta lucyński, Borch, dwa razy w kancelaryi imć Raszanowicza zasiadał i w jego oczach „Trzema Kawkami“ na krwawniku akt zgody napieczętował. Ale wonczas było kiedy do uhonorowania się przysposobić, było kiedy godnie wystąpić. A teraz ledwie tyle czasu starczyło rejentowi, żeby porwać się z za stoła, kapotę na brzuszku, przedstawiającym niejakie w odzieniu uchybienie, zapiąć, Błażka, palestranta, który w rogu kancelaryi patyczki do klatek rejenciny strugał, wypchnąć do alkierza i, musnąwszy czuba, wybiedz na powitanie gościa.

Na ganeczku gładko rejentowi poszło, bo gość sam najpiękniej się sprezentował, a choć aż dmuchało odeń magnackim zapachem, poczciwie czarną, zgrubiałą rękę pana Raszanowicza uścisnął.

W kancelaryi niesporzej się zaczęło. Rejent bowiem chciał kilku zamachami i pokład kurzu zgarnąć połą ze stoła, i dziurę w siedzeniu fotela Statutem litewskim zatknąć, i stróżyny Błażkowe nogą nieznacznie pod ścianę usunąć, i wdzięcznem skłonieniem raz jeszcze młodego panka uczcić. Lecz że pękatej figurce pana rejenta zbywało na zwinności, tedy wraz ze Statutem litewskim pliką butwiejących papierzysków targnął i zwalił je na podłogę, kłębami stęchłego pyłu wypełniając duszne powietrze kancelaryi.

Skonfundował się pan rejent i kontenans stracił. Gość jednak tak zgrabnie się ozwał, a tak grzecznie wywiódł, iż imć Raszanowicz ani się spostrzegł, jak za pan-brat przy stole z nim zasiadł. Skrypt, który przybyły na zagajenie sprawy swej przedstawił, całą już swobodę rejentowi wrócił.

Imć Raszanowicz okulary nałożył, powiódł oczyma po skrypcie, mlasnął językiem przy wyrazie „tysiąc“, skupił się w sobie, paluchem w czoło stuknął i, brwi nastroszywszy, zakonkludował groźnie:

— Procesować!

Przyczem tak się zacietrzewił, iż gość nie mało natrudzić się musiał, zanim zdołał rejenta przekonać, iż bynajmniej nie idzie mu o procesowanie się z panem Karnickim, bo i nie ma powodu, a jedynie o przepisanie długu, należnego Jakóbowi Grużewskiemu, na rzecz syna, Juliusza, jako spadkobiercy.

Imć Raszanowicz aż posmutniał. Z procesu o cały tysiąc dukatów możnaby nie jednego kulfona mieć, a za proste dokumentu ułożenie i o rubla nie sporo się przymówić. A w dodatku proces i Grużewskiego z Karnickim.

Westchnął nieznacznie rejent. Arkusz papieru rozłożył, przyciął nowego pióra i jął pisać.

Pół godziny nie wyszło, a już rejent zdążył, co trzeba, wykoncypować, przeczytać, brakujące kropki postawić, a nawet żyda, co mu skapnął, do ogonka jednej z liter przyczepić i wykrętasem zamaskować.

Gość podziękował i o należność zapytał. Rejent stęknął.

— Dobrodzieju mój, gdyby proces, gdyby pozew, gdyby... gdyby choć testament! Ale tu... nie wiem, drobiazg, nie wiem, dalibóg! Co łaska, co wola pańska!

Klient do paska pod kamizelą sięgnął dwoma palcami, zadzwonił w ukrytej kieszonce i, nie rachując, dobył szczyptę tęgą złota i imć Raszanowiczowi podsunął.

Rejentowi w oczach zaświdrowało. Toć dukaty szczere, holenderskie, obrączkowe, których od wiłkomierskich czasów, gdy sam u patrona się wysługiwał, nie oglądał, szczerzyły się doń ze stoła. Imć Raszanowicza aż poderwało. Drżące ręce do dukatów wyciągnął i już zgarnąć je miał, lecz, rzuciwszy wzrokiem na młodzieńczą twarz klienta, zawstydził się i ręce opuścił bezwładnie.

— Dobrodzieju mój, gdzież mogę!

Gość uśmiechnął się pogodnie.

— Panie rejencie, pierwszy raz się zgłaszam do pana, ale nie ostatni. Więc na zawarcie relacyi jedno w drugie pójdzie! A nuż proces wyniknie!

— Toć-że tego na dwie apelacye starczy!

Drożył się jeszcze imć Raszanowicz a sumitował, lecz klient rozmowę odwrócił i rozpytywać zaczął o gospodę w Lucynie a napomykać, że rad by tu do drugiego dnia zabawić, aby koniom dać wypocząć i po nocy do Landskorony nie zjeżdżać.

Rejent rozpromieniał. Cały Lucyn w okamgnieniu sponiewierał, w niechlujstwie unurzał—i dopiero, skłoniwszy się do nóg pankowi, palnął zaprosiny.

Gość znów teraz niby się wymawiał, niby uchylał, niby mnóstwo warunków stawił, ale tak łatwych, że w kilka chwil imć Raszanowicz, jak kula, wpadł na drugą stronę dworku, do świetlicy, gościa zwiastować żonie.

Pani rejencina, choć żałosnej była twarzy a wiotkiej urody, w potrzebie miewała okrutną do rządzenia sprawność i bez mała hetmańską oryentacyę. Stąd, ledwie imć Raszanowicz z pierwszego impetu sobie ulżył, ledwie wygadał z grubszego, co, kto, jak, gdy rejencina już na dziewki zakrzyknęła, już Błażka na miasteczko po sprawunki z dukatem wysłała, już miała i obiad ułożony i podwieczorek, i wieczerzę—i już obwarzanki wykładała na talerz do zieleniaczku.

Co dziwniejsze, iż wszystkie te rozkazy i postanowienia nie tylko nie przeszkadzały rejencinie słuchać gorączkowych wyjaśnień małżonka, lecz w tem słuchaniu właśnie zdawały się czerpać swoję siłę, bo ilekroć imć Raszanowicz milkł, płaczliwa twarz rejenciny kurczyła się, a głos jej piszczał śpiewnie:

— Pietruleczku, mów, duszko! Do kaczek trzeba majeranku. Mówże, Pietruniu, niedołęgo! Maryś żółtka ukręci! Więc napisałeś?.. Maryś!

DCN.

Raul Auernheimer.

POETA.

Rozpoczęło to się tak. Poeta pewnego pięknego poranku otrzymał podłużny, liliowy, subtelnie woniejący list, pokryty dużemi, w pośpiechu kreślonemi literami, jakiemi zwykle piszą kobiety, mające dużo wolnego czasu i chcące uchodzić za światowe.

Przedewszystkiem spojrzał na podpis. Tym razem była to Matylda i pisała z Altnang w górnej Austryi. Stanowczo coś zupełnie nowego; nigdy jeszcze w porze zimowej nie pisała do niego żadna Matylda z tamtych stron. Ale była to jedyna rzecz nowa w tym liście. Po za tem znał już wszystko na pamięć, od przesadnego uwielbienia na wstępie listu począwszy, aż do tradycyjnego zakończenia: „Jeśliby mój list nie miał należeć do tych, które się bez przeczytania wrzuca do kosza, proszę, niech mi pan przyśle choć kilka słów, pisanych własną ręką".

Poeta zamiast kilku wierszy skreślił kilkanaście, a w nich ze wzruszającą skromnością dziękował za zainteresowanie, jakie dama okazała dla jego „pisaniny".

Potem otrzymał odwrotną pocztą list na ośmiu stronach, w którym Matylda opiewała swą radość z powodu jego odpowiedzi. Poeta, który dla ludzi, leżących przed nim w prochu, potrafił być łaskawym, jak cesarz Franciszek Józef, odpowiedział nowym listem, a był o tyle nieostrożnym, iż prosił swą korespondentkę, aby mu opisała swoje otoczenie. Nosił się bowiem z myślą napisania powieści z życia prowincyi i zbierał do tego materyały.

Wtedy przyszedł list w tonie humorystycznym, w którym Matylda iście po kobiecemu pisała więcej o sobie, niż o swem otoczeniu i, po wplecionej mimochodem uwadze, iż jest już niemłodą wdową z trojgiem dzieci, życie prowincyi namalowała w następujących wyrazach: „Gram w ping-pong, czytam nowelki i czekam na miłość".

Poeta zrozumiał, oczywiście, słusznie, iż owa dama nie jest niemłodą wdową, gdyż gdyby nią była w istocie, nie napisałaby tego w liście. Odpisał tedy z galanteryą, iż ta wdowa wcale go nie przeraża, gdyż sam jest człowiekiem dojrzałego wieku i ponad wszystko przekłada miłość duchową. Zakończył słowami: „à propos miłości duchowej, niechże mi pani przyśle swoję fotografię".

Panna Matylda, nauczycielka trojga dzieci na wsi, w okolicy Gmunden, mogła doskonale przesłać swój portret, gdyż była uroczą, świeżą, zaledwie 23 letnią smukłą brunetką z czarnemi, jak węgiel, oczyma i cerą kameliową. Ale nie uczyniła tego i zupełnie bez powodu, poprostu dla kaprysu, który zrodzić się mógł tylko w wyobraźni panieńskiej, posłała mu portret młodo-zmarłej przyjaciółki, prześlicznej, idealnie głupiej blondynki.

Tym razem poeta odpowiedział odwrotnie. I nie na małej karteczce, ale w długim liście na czterech stronach, dziękując w stylizowanych słowach za piękny portret. Po raz pierwszy znalazł list swej korespondentki dowcipnym i mądrym i, jako sumienny psycholog, usiłujący dla objawów duchowych znaleźć źródła cielesne, stwierdził, iż ożywia go ten sam duch, który promienieje ze słodkich oczu kobiety na fotografii i tchnie z tkliwie uśmiechniętych usteczek. Oczywiście, że z portretu nic nie promieniało, ani tchnęło, ale czego nie wyzna poeta, gdy chce się podobać ładnej blondynce!

Panna Matylda przeraziła się, gdy otrzymała ten hołd, który przecież nie jej się należał, lecz nie żyjącej już przyjaciółce. Ale było już za późno, aby przyznać się do oszustwa, gdyż cożby sobie poeta o niej pomyślał i czyby jej kiedykolwiek wybaczył, że go tak wystrychnęła na dudka? Więc kłamstwo przędło się dalej i dalej. Oczywiście, ściskało jej się serduszko, gdy poeta w swych listach, które odtąd przychodzić poczęły bardzo regularnie, wspominał o jej jasnych włosach i jasnych oczach i o różanej cerze blondynki, za którą przepada. I cierpiała tem więcej, wskutek powtarzającego się ustawicznie uwielbienia typu, wręcz odmiennego od własnego, a jednocześnie roznamiętniała się coraz więcej do słów poety, do tych ciepłych, miłych, zdradnych słów, które prowadzą wprost do serc kobiecych i tę drogę, ah, tak dobrze znają!

Oczywiście, tą wymianą listów wśród czułej a zalotnej gry w chowanego, w którą bawiły się dwa serca niezaspokojone i czekające na miłość, nudna zima na wsi była bajecznie urozmaicona. Listy poety piętrzyły się w biureczku nauczycielki i nie obchodziło jej zgoła, jakie mogły być konsekwencye tej korespondencyi. Tego rodzaju stosunki nie mają żadnych konsekwencyi — myślała. Lada dzień napisze do niego inna kobieta, której wdzięk i styl lepiej mu przypadną do gustu, i wtedy nie odpowie mi na ostatni list.

Ale stało się inaczej. Bo nietylko że poeta nie zaniechał korespondencyi, lecz stawał się tkliwszym i agresywniejszym. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, poeta zakochał się w swojej korespondentce, gdyż nazwał ją swoją przyjaciółką i czynił jej wyznania, z których wnioskowała, iż tryb życia, który prowadzi, nie daje mu zadowolenia i że mimo powodzeń czuje się wprost nieszczęśliwy. „O ileż lepiej było dawniej przed dziewięciu laty—pisał— gdy żyłem w biedzie, nie znany jeszcze przez nikogo, ale wtedy miałem jasnowłosą dziewczynkę, która mnie kochała". Matylda pocieszała go: „Co do jasnowłosej przyjaciółki, to taka panienka znów się kiedyś nawinie". A jednak bolało ją, iż wyraz „blondynka" znajdował się w każdym liście lubo miało to i tę dobrą stronę, iż wykluczało wszelką znajomość osobistą i cała sprawa pozostawała taką, jaką być powinna: niewinnym flirtem w listach.

Nie leżało to jednak w planach poety. W marcu niespodzianie przesłał swoję fotografię, a około Wielkanocy przyszedł od niego list, w którym donosił, iż zamierza uczynić *tournée* odczytowe po Austryi i za dwa tygodnie przez Salzburg powracać będzie do Wiednia. Czy nie mógłby jej zobaczyć w przejeździe przez Altnang?

***

W dwa tygodnie później przypomniała sobie panna Matylda, że posiada w Salzburgu ciotkę i że tej miłej staruszki, w dodatku obecnie cierpiącej, nie widziała już od lata. Wyprosiła więc sobie u swojej baronowej urlop dwudniowy i pojechała do Salzburga, aby potem tym samem pociągiem, którym poeta jechał z Monachium, powrócić do Altnang. Tak to sobie obmyśliła.

A zdecydowała się na ten krok z dwóch powodów. Po pierwsze, chciała swobodnie obserwować swego przyjaciela, zanim go jeszcze pozna osobiście. Kto wie, czy w rzeczywistości wygląda tak, jak na fotografiach? Może ma fałszywe zęby, albo podróżuje z kobietą. W obu wypadkach powró-

ciłaby do Altnang dopiero następnym pociągiem. Miała jeszcze i inne powody. Poeta znał ją jedynie z fotografii zmarłej przyjaciółki. Oczywiście, mogłaby odrazu podejść do niego i wyjawić mu całą prawdę. Ale jeśli mu się nie spodoba? Tego niebezpieczeństwa postanowiła bezwarunkowo uniknąć. A nawet przekonać się, iż jest wręcz inaczej. Próba mogłaby się odbyć na dworcu w Salzburgu i w drodze powrotnej.

W sali jadalnej salzburskiego dworca, na pół godziny przed odejściem pociągu, ujrzała swego bohatera. Odrazu się rozczarowała, tak jak to bywa, gdy się ogląda po raz pierwszy jaką „sławę". Głowa, z wachlarzowo rozłożoną brodą, która trochę rozmyślnie przypominała Daudet'a, była wprawdzie podobną do głowy na fotografii, ale, oczywiście, o 10 lat starszą. Matylda, jako dopełnienie tej głowy, wyobrażała sobie wysoką i smukłą postać męską, a poeta był mały i gruby. Miał nawet brzuszek. Panna Matylda była wprost przerażoną, iż ten sławny autor pięknych erotyków miał brzuszek.

Obserwowała go niespokojnie, gdy opryskliwie zamawiał sobie potrawy, nerwowo sięgał po gazety i, przebiegłszy pośpiesznie oczami wiadomości z teatru i sztuki, odrzucał je, poziewając. Po chwili rozglądać się począł po sali, szukając rozrywki, i nagle panna Matylda uczuła, iż wzrok jego na niej się zatrzymał. Było to niewymownie głębokie spojrzenie ciemnych źrenic i zadrżała, gdy w nią uderzyło. Zmieszana, spuściła oczy, a gdy je w chwilę później ostrożnie podniosła, zauważyła, że poeta nałożył swój monokl i patrzał w nią z życzliwem uznaniem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa zaczął w niej gustować.

Siedząc w wagonie, panna Matylda, postanowiła w Altnang wręcz przystąpić do swego przyjaciela i odważnie przyznać się do oszustwa z fotografią blondynki. „Wybaczy mi, że jestem brunetką"—pomyślała z uśmiechem.

A snadź pan poeta już jej to wybaczył, gdyż nagle drzwi wagonu otworzyły się, wszedł „on", ukłonił się i zajął naprzeciw niej miejsce.

Najwidoczniej pragnął zawrzeć z nią znajomość—i to w drodze na schadzkę umówioną. Z trudnością powstrzymała uśmiech. „Ciekawa jestem, jak mnie zaczepi?"—pomyślała. Rozwiązanie tego problemu nie przedstawiało jednak dla poety wielkiej trudności.

Z dużym spokojem, naturalnością i pewnością siebie, właściwą ludziom czterdziestoletnim, zapytał:

— A dokąd to pani jedzie?

— Do Linz—zdecydowała się odpowiedzieć.

— Czy pani tam mieszka?

— Tak—kłamała dalej.

— Ładne miasto — nadmienił poeta. — Dużo kościołów... tak, bardzo dużo kościołów... Niezły teatr...

— O, tak!

Rozmowa już była w pełnym biegu. Umiała odpowiadać, okazywała nawet pewne wykształcenie. Poeta starał się odrazu odgadnąć, do jakiej należy sfery społecznej i towarzyskiej, i stawiał pytania ostrożnie, jak lekarz, gdy ma postawić dyagnozę.

Po kwadransie dyagnoza już była gotowa, osoba, której można powiedzieć swoje prawdziwe nazwisko. Powiedział jej tedy, niby od niechcenia, ale w gruncie rzeczy pilnie obserwując. A więc miał słuszność, nie przecenił jej.

— Poeta? — zapytała ze wzruszeniem.

— Poeta... — uśmiechnął się znudzony.

Odrazu poczęła mówić o jego książkach, gdyż oczywiście znała je wszystkie. Nie był tem zdziwiony. Ze spokojem i pobłażliwością przyjmował objawy jej inteligencyi. Gdy umilkła, zapytał:

— Czy pani jest zamężną?

Prawdopodobnie przywiązywał do tego jakieś znaczenie. A ponieważ już kłamać zaczęła, więc brnęła dalej.

— Tak—odpowiedziała.

— Czem jest pani mąż?

— Buchalterem—odrzekła ze smutkiem.

— Czy i on czyta moje książki?

— Ah, on?—mruknęła z pogardą.

Poeta patrzał na nią w zamyśleniu wzrokiem badawczym. Nagle pochwycił jej rękę.

— Czy pani wie, kogo mi pani przypomina?

— No?

— Kobietę, która przed dziesięciu laty była mi bardzo, bardzo bliską.

— Jakto? Panu pewnie każda kobieta przypomina inną kobietę? — zaśmiała się, pokazując swoje równe, białe zęby.

Podobała mu się forma odpowiedzi i podobał rząd ślicznych zębów.

— Niestety—podwierdził z melancholijnym uśmiechem, ale to nic nie szkodzi. Kocha się podwójnie: w teraźniejszości i we wspomnieniu. I czułym się jest podwójnie.

Po chwili ciągnął dalej:

— Tak, przed dziesięciu laty! Byłem wtedy biedny i nikt mnie nie znał, ale o ileż byłem szczęśliwszy! Ona miała pani włosy, pani oczy...

— Była więc brunetką?

— Najprawdziwszą w świecie brunetką.

— Panna?

— Nie, mężatka.

Matylda stała się nagle milczącą i zamyśloną. Powinna się była cieszyć, że mu się tak bardzo podoba, ale z drugiej strony nie mogła się z tem pogodzić, że już ją zdradzał, zanim jeszcze poznał, i to w drodze na ich pierwsze *rendez-vous*, a w dodatku podwójnie: w teraźniejszości i we wspomnieniu. Było bowiem jasnem zupełnie, że przed dziesięciu laty kochał się nietylko w jasnej dzieweczce, ale i w ciemnowłosej mężatce.

Więc milczała, dręczona bolesnem rozczarowaniem, a on dalej jej nadskakiwał, delikatnie i zręcznie, w ciepłych, miłych, zdradnych słowach, które tak dobrze znały wszystkie zawiłe drogi, prowadzące do serc kobiecych, gdyż już często, bardzo często chodziły po nich.

Gdy pociąg wjechał na dworzec, na którym miało się odbyć ich *rendez-vous*, przerwał nagle rozmowę. Podszedł do okna i wyjrzał.

— Czy pan ma tu może jakie *rendez-vous*?—spytała.

Odwrócił się gwałtownie.

— Skąd pani o tem wie?

— No, taki donżuan, jak pan!

Odszedł od okna.

— Czy to panią gniewa?

— Oh, bynajmniej! Ale jeśli się kto chce podobać kobiecie, widzi pan, powinien w niej wzbudzić przeświadczenie, iż ona jest jedyną — w danym momencie przynajmniej, jeśli już nie we wspomnieniu.

Śmiejąc się wziął jej rękę i pocałował. Potem rzucił ostatnie spojrzenie na peron. A że nie widać było żadnej blondyny, spuścił roletę i rzekł:

— Wcale nie wysiądę! Cóż mi może zależeć na tej głupiej gąsce!

— Niech mi pan opowie o tej głupiej gąsce.

I gdy pociąg potoczył się dalej, opowiadać począł o swojej korespondencyi z panienką ze wsi, naigrawając się z niej, a głupia gąska słuchała wciąż uważnie, tylko stawała się coraz bardziej zamyślona, a nawet łzy zabłysły w jej oczach, ale poeta tego nie zauważył.

Gdy wysiadała w Linz, naturalnie

dała mu słowo, że za tydzień przyjedzie do Wiednia i wtedy go odwiedzi.

Upłynęły jednak dwa tygodnie i nie dawała znaku życia, wobec czego poeta odszukał znowu fotografię blondynki i zrobił odkrycie, iż ta słodka twarzyczka jest niewymownie miła. Napisał więc do Matyldy tkliwy list, w którym prosił o wyjaśnienie, dlaczego nie stawiła się na schadzkę.

Po kilku tygodniach przyszła odpowiedź, w której Matylda krótko i węzłowato prosiła o swoje listy i fotografię, gdyż zaręczyła się i niedługo wychodzi zamąż za... buchaltera w Linz. Następnego dnia odebrała paczkę, a na niej obok adresu było napisane: „Zawartość—listy, wartość—zero.“

Poeta był obrażony.

tłom. z niem. Z. R.

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

Przekład z angielskiego.

23

„Allah! Allah! Allah!“ Bóg musiał tu być niewątpliwie blizko, przychylając się do tego nieustannego wołania. Nigdy przedtem, nawet gdy dzwonki dźwięczały i ksiądz Hostyę podnosił, Domini nie odczuła takiej blizkości Boga do swego świata, takiej absolutnej pewności, że Bóg słyszy Stworzenie Swoje, patrzy na nie, chce go, uważa, iż jednem z Nim kiedyś się stanie, jaką odczuła teraz, gdy szła mrocznemi alejami ku tym rzeszom niezliczonym modlących się ludzi.

Androwski postępował wolno, jak w rozterce.

— Czy nie dolega panu ramię?—zapytała go szeptem.

Szmer ten przeciągły modlitwy poruszył do głębi jej duszę, obudził w niej pełnię współczucia dla wszystkich i dla wszystkiego, jakgdyby modlitwa była szmerem, wiążącym świat cały ze sobą.

On potrząsł głową w milczeniu. Spojrzała na niego i czuła, iż on także był poruszony, ale czy tak, jak ona, tego nie mogła powiedzieć. Twarz jego była, jak twarz człowieka, zdjętego przerażeniem. Mustafa obrócił się ku nim. Nieustanny szmer ten był teraz tak blizko, iż zdał się być razem z nimi, jak gdyby oni też modlili się u grobu Zerzura.

— Proszę za mną na podwórze — rzekł Mustafa do Domini— i proszę pozostać przed drzwiami, aż przyniosą pantofle.

Skręcili ku rogowi i przyszli na otwartą przestrzeń przed łuk, który prowadził do pierwszego z podwórców, okrążających meczet. Pod łukiem siedzieli arabowie w milczeniu, jakgdyby pogrążeni w marzeniu głębokiem. Nie poruszyli się, lecz tylko spojrzeli na cudzoziemców, i Domini zdawało się, że w spojrzeniu tem była wrogość. Za nimi, na bruku nierównym, otoczonym wysokiemi murami, było mnóstwo razem zebranych arabów, klęczących, kłoniących głowy do ziemi i szemrzących bez przerwy słowa, głosem głębokim i prawie warczącym. Palce ich przesuwały się po paciorkach różańców, które okrążały ich szyje, i Domini pomyślała o swoim różańcu. Niektórzy modlili się oddzielnie, usunąwszy się do zakątków cienistych, z twarzami, zwróconemi do muru. Inni znowu byli zebrani w gromadki.

Na drugim i mniejszym podwórcu przed portalem meczetu odbywała się nauka Koranu. Uczący się, ubrani w białe szaty, siedzieli kołami, trzymając tabliczki kwadratowe z jakiegoś materyału, który wyglądał, jak tektura, pokryte drobnem pismem arabskiem, pięknemi, symetrycznemi liniami, punktami i zakrętasami. Nauczyciele siedzieli pośrodku, wykładając tekst święty głosem nosowym, z szybkością i żywością, która zdała się być wojowniczą.

„Allah! Allah! Allah!“

W wielbieniu tem nieumęczonem, tak płomiennem i tak ześrodkowanem, było coś władnego i rozkazującego, prośba, która napewno nie mogła być pominięta, ani odłożoną. Swojskość, pół-serdeczność modlitwy Zachodu i czci nabożnej Zachodu nie miały tu miejsca. Modlitwa ta była, jak żar słońca, gorąca, cześć ta—jak ogień ku górze idący. Dech tego ludzkiego wezbrania był, jak dech pieca ognistego, płynący hen ku wrotom Raju Allaha. Dawało to Domini prawie że nowe pojęcie religii, stosunku Stwórcy do stworzenia. Arabowie ci korzyli się w prochu. Czoła ich dotykały kamieni. Postawą swą robili wrażenie, jakgdyby pragnęli zrównać siebie z ziemią, zapaść się z nią, stać się ziarnkiem piasku pustyni. Oczyma zamkniętemi patrzyli pełnią Bogu w twarz. Głuchy, warkliwy szmer ich miał majestat gromów, toczących się po niebie.

Mustafa zniknął we wnętrzu meczetu, pozostawiając Domini i Androwskiego na chwilę samych pośrodku zamodlonych. Z wnętrza cienistego szedł wciąż nieustający szmer modlitwy, łącząc się z modłami nazewnątrz. U drzwi meczetu był wązki kamień do siedzenia. Domini siadła. Uczuła naraz zmęczenie, jakie czuje osoba zahypnotyzowana, kiedy ciało jej i duch ustępuje niewoleniu hypnotyzera. Androwski stał. Oczy jego były utkwione w ziemię, i Domini pomyślała, że lico jego było, jak lico widma, jakgdyby wszystka krew odbiegła z niego, pozostawiając je białem pod barwą bronzową, przez słońce położoną. Stał całkiem spokojnie. Cień mroczny, jaki rzucał piętrzący się meczet, padł na niego, i postać jego nieruchoma wzbudzała w Domini zastępy nieskończonej melancholii. Westchnęła, jak pod ciężarem. Wpobliżu nich, u progu drzwi był starzec, z twarzą, zwróconą do wewnątrz. Był on chudy, jak szkielet, ubrany w łachmany, przez które wyglądało jego bronzowo ubarwione ciało, ostre, z pokrytemi zaledwie kośćmi, i z rzadką brodą białą, jak szczotka, na wierzchu sterczącego podbródka. Twarz jego, trudem życia zmęczona, przez czas i działanie słońca na pargamin wyprawiona, była pełna starczego jadu; a usta jego bezzębne, z wargami na wewnątrz wwiniętemi, wciąż się poruszały, jakgdyby chcące kąsać. W odstępach prawidłowych, jakby posłuszny jakiemuś przewodnictwu, wyrzucał ramiona ku meczetowi, jakgdyby z zamiarem uderzenia, cofał je, pauzował i znowu wyrzucał je gwałtownie. I gdy tak wyrzucał ramiona, wraz z tem wysyłał z piersi przeciągły i drżący krzyk, pełny bezsilnej, chociaż jeszcze natężonej złości.

Krzyczał tak oczywiście na Boga, wyrzucając Mu wszystko zło, jakie spadło nań na schyłku życia. Nieszczęsny, straszny starzec! Androwski był bliżej niego, lecz zdawał się nie zwracać na niego uwagi. Domini przeciwnie, od chwili, jak go tu ujrzała, nie mogła usu-

nąć go z oczu i myśli. Ciągły ruch jego ramion, krzyk ciągły, stawał się nie do zniesienia, tu, pośród tych pochylonych ciał i szemrzących głosów modlitwy. Za każdym razem, gdy tak wygrażał meczetowi i wyrzucał ów krzyk przejmujący, Domini zdawało się, że słyszy przekleństwa, miotane w świątyni. Chciałaby go powstrzymać. Bluźnierca ten poczynał burzyć jej tę atmosferę mistyczną, którą zastępy nabożnych tu tworzyły—aż wreszcie nie była w stanie znieść jego pasyi zaciekłej.

Dotknęła ramienia Androwskiego. On drgnął i spojrzał na nią.

— Ten starzec — rzekła szeptem.—Czy nie możesz pan przemówić do niego?

Androwski po raz pierwszy teraz spojrzał na niego.

— Przemówić do niego? Poco?

— On... on jest straszny!

Naraz uczuła dziwny brak ochoty przekładania Androwskiemu, dlaczego starzec ten był dla niej straszny.

— Co pani życzy sobie, żebym mu powiedział?

— Myślałam, że może pan będzie mógł powstrzymać go, żeby tego nie robił.

Androwski postąpił i zagadał do starca po arabsku. On znów wyprężył ramiona i wyrzucił swe drżące wyzwanie. Przeszyło ono szmer modlitwy, jak błyskawica, która przeszywa chmurę brzemienną.

Domini wstała.

— Nie mogę znieść tego—mówiła wciąż jeszcze szeptem. — Wygląda to tak, jakgdyby on klął Boga.

Androwski spojrzał na starca, tym razem z głęboką uwagą.

— Czyż nie tak?—zapytała.— Czyż nie wygląda to, jakgdyby on klął Boga, gdy cały świat Go wielbi? I jeden krzyk ten nienawiści zdaje się być głośniejszym od modłów całego świata.

— Nie można go powstrzymać.

W głosie jego było coś, co zmusiło ją naraz do zapytania:

— A czy pan chciałbyś go powstrzymać?

On nic nie odrzekł. Starzec wciąż groził meczetowi i krzyczał. Domini wstrząsnęła się.

— Nie mogę tu pozostać — rzekła.

W tej chwili zjawił się Mustafa w towarzystwie odźwiernego meczetu, który niósł dwie pary znoszonych pantofli.

— Pan i pani muszą zdjąć obuwie. Wtedy pokażę świątynię.

Domini szybko nałożyła pantofle i poszła do środka, nie oczekując i nie patrząc, czy zdąża z nią razem Androwski. Wściekły krzyk starca szedł za nią skroś odrzwia kościelne.

Wewnątrz był mrok i przestwór. Mrok—który zdawał się być modlitewnym. Widok żółtawo-białych łuków ciągnął się nawprost, na prawo i na lewo. Na posadzce, pokrytej matami, zastęp białych postaci klęczał i kołysał się, wstawał raptownie, znów klękał, chylił czoła do ziemi. Poprzedzana przez Mustafę i przewodnika, którzy szli bez pantofli, w pończochach, Domini postępowała zwolna pośród modlących się, ścieżką, wijącą się śród tego zamodlonego łanu. Była zmuszona posuwać nogi, nie odejmując ich od posadzki,—by jej pantofle nie opadły. Krzyk starca, obecnie nikły, dochodził tu zewnątrz regularnie, jak głuche tętno bijące. Im dalej atoli posuwała się wgłąb meczetu, tętno to pochłaniały szmery modlitwy. Nikt z modlących nie zdawał się widzieć jej, ani wiedzieć nawet, że jest tutaj. Ocierała się o białe szaty modlących— i gdy to czyniła, czuła, jak gdyby dotykała rąbu szat tajemnicy, i unosiła starannie rękoma swoję suknię, jakgdyby w obawie, by nie odwołała którego z tych serc, które—to pewna—były bardzo daleko.

Mustafa i odźwierny stali spokojnie, bacząc na Domini. Lica ich były uroczyste. Z oczu Mustafy zniknął wyraz chciwego niepokoju. Myśl o pieniądzach odbiegła na chwilę z jego myśli i dała miejsce sprawie ważniejszej. W półmroku między kolumnami Domini ujrzała dwoje drzwi drewnianych. Były one pomalowane na zielono i na czerwono i opatrzone zawiasami z miedzi kutej, która wyglądała bardzo starożytnie. Do drzwi były przybite dwa wyobrażenia skrzydlatych koni z ludzkiemi głowami i oprócz tego dwa malowidła, wyobrażające fantastyczne zamki i grody wschodnie, minarety złote na czerwonem tle. Nad drzwiami z wysokiego sufitu zwieszały się kule szklane purpurowe i żółte, tudzież świeczniki kryształowe z mnóstwem lamp starożytnych. Dwa podarte i kurzem okryte sztandary z blado-różowego i białego jedwabiu, obrzeżone złotem i osypane złotym deseniem z kwiatów, przywiązane były do filarów cienkiemi sznurami z sierści wielbłądziej.

— To jest grobowiec Sidi-Zerzura — rzekł szeptem Mustafa. — Otwiera się on tylko raz na rok.

Odźwierny meczetu padł na kolana przed grobowcem.

— To... Mekka.

Mustafa wskazał na malowidło grodu. I wtedy i on też pochylił się i dotknął czołem maty. Domini poszukała wzrokiem Androwskiego. Nie było go tutaj. Stała sama przed grobowcem Zerzura, i była teraz jedyną ludzką istotą w wielkim, mrocznym przybytku, która nie modliła się. Uczuła się ogromnie samotną i jakby wyłączoną—i prawie nie śmiała się modlić, bowiem przez chwilę czuła, jakgdyby Bóg, ku któremu płynął ten potok modlitewny, był wrogim nawet dla niej.

Czy ojciec jej miał takież wrażenie samotności niewysłowionej?

Wrażenie szybko minęło, i Domini, stojąc pod lampami ofiarnemi przed malowanemi drzwiami, poczęła też modlić się po cichu. Zamknęła oczy i wyobrażała się w kościele jej wyznania—w małym kościołku w Beni-Mora. Starała się wyobrazić sobie, że wszystkie głosy dookoła jej były głosem wielkiego kościoła katolickiego. Lecz to było niemożebnem. Nawet gdy nic nie widziała, gdy duszę swoję zwróciła do wewnątrz i starała się odsunąć od siebie ten nowy świat, w który wstąpiła, słyszała w szmerze przeciągłym, który go napełniał, dźwięk, który szedł niezwodnie od piasków pustyni, od serca i od ducha tych piasków, od serca i od ducha miejsc samotnych, a który wchodził tu w mrok meczetu, płynął pod arkadami poprzez drzwi świątyni, ponad palmami i płaskiemi dachami domów, i wykreślał, jak orzeł pustynny, dziki swój lot— do słońca.

Ręka Mustafy dotknęła jej ramienia. Odźwierny powstał też z klęczek, wyciągnął świecę z ubrania i zapalił ją. Domini zbliżyła się do małych drzwiczek, przeszła przez nie i poczęła wstępować po krętych schodach. Dźwięk modlitwy unosił się za nią od meczetu i, gdy weszła na małą platformę okoloną na szczycie minaretu, słyszała go wciąż, i był on pomnożony. Bowiem wszystkie głosy z podwórców zewnętrznych połączyły się z sobą — a także głosy z dachów domów dookoła ich.

Lud modlił się tu także, modlił się w żarze słońca, na wyżynach swych domów. Widziała go z minaretu, i widziała siedziby, rozsypane dookoła grobowca świętego, i wszystkie palmy oazy—i za niemi niezmierzony obszar pustyni.

— Allah-Akbar! Allah-Akbar!

Była teraz ponad tem wołaniem wieczystem. Uniosła się, jak modlitwa ku słońcu, jak żywa modlitwa tętniąca, jak dusza modlitwy. Patrzała na daleką pustynię i wi-

działa modlitwę wędrującą, duszę modlitwy - wędrownicy — dokąd? Gdzie koniec jej? Gdzie schron jej, namioty rozbite, ogniska zapalone i długi, długi spoczynek?

. . . . . .

Kiedy zeszła na dół i znalazła się w podwórcu, zastała starca, wciąż jeszcze wygrażającego świątyni i wykrzykującego swoje drżące zaklęcia. I zastała Androwskiego, stojącego wciąż przy nim z oczyma uroczonemi.

Uniosła się wraz z głosem modlitwy ku blaskom słońca, przebyła drogę małą wzwyż ku Bogu.

Androwski został w cieniu mrocznym razem z przekleństwami.

Może to było szaleństwem — wyobraźnią gorącą kobiety — lecz pragnęła, by szedł był tam z nią razem.

KSIĘGA III.

Ogród.

X.

Było południe w pustyni.

Głos mueddina zamarł już na minarecie, i złote milczenie, spływające od serca słońca, spoczęło już wreszcie na wszystkiem. W żarze tym przyroda zdała się nienaturalnie spokojną. Powiewy łagodne zniknęły, i palmy Beni-Mora stały bez ruchu, jak gdyby zaśnione. Dzień stał się, jak sen, gorący i natężony, sięgający zarazem czegoś nieziemskiego, czegoś prawie że duchowego. Jasność powietrzna dalekiej pustyni była nie przyćmiona, lecz nasycona tajemnicą, która jest dzieckiem cudownem cienia. Złoto dalekie, które ją utrzymywało, zdało się zawierać tajemnicze ciemności. W oazie Beni-Mory ludzie, którzy zbudzili się zwolna do modlitwy, znowu się w sen pogrążyli w zmroku ciepłym białych ogrodów lub w nocy gorącej bezokiennych komnat.

W ogrodzie hrabiego Anteoni'ego nie dźwięczał flet Larbi'ego.

— Południe, jak miraż—rzekła Domini sennie.

Hrabia Anteoni skinął głową.

— Mam wrażenie, jak gdybym patrzała na siebie z bardzo daleka—dodała.—A widząc siebie, jak gdybym widziała szare morze i wyspy na drodze do Sidi-Zerzur. Co za dziwne czarodziejstwo! I nie mogę do niego przywyknąć. Z każdym dniem podziwiam je więcej i z każdym dniem znajduję je bardziej niewytłómaczonem. To mnie prawie przestrasza.

— Pani umie się trwożyć?

— Nie łatwo rzeczami zewnętrznemi; przynajmniej tak tuszę sobie.

— Czemże tedy?

— Czy ja wiem! Czasami zdaje mi się, jak gdyby wszystko zzewnątrz, co powoduje czyny w życiu tak zwane gwałtowne, było swojskiem i trwożnem i śmiesznie nie mocnem w porównaniu z tem, czego nie widzimy, a co powoduje czyny, których opisać nie umiemy.

— W mirażu tego kraju poczyna pani widzieć zewnętrzność, jak miraż? To nabytek, to nabytek!

W głosie jego było coś podstępnego, coś prawie aż niegrzecznego.

— Czy pan jest śledczym tajnym?—zapytała go Domini.

— Czyim, pani?

Nic nie odrzekła. Zdawała się rozważać. On spojrzał na nią z ciekawością w swoich jasnych oczach.

— Pustyni—odrzekla wreszcie, prawie seryo.

— Śledczy tajny ma zawsze określony cel. Jakież ma być moje zajęcie?

— Czy ja wiem! Czy mogę wiedzieć, czego chce pustynia?

— Już ją pani uosabia!

Na twarzy jego bronzowej, gdy się uśmiechnął, widomie tryumfując, ukazała się siatka zmarszczek.

— Sądzę, żem tak czyniła od samego początku — odrzekła poważnie.—To pewne, żem tak czyniła.

— A jakiegoż rodzaju osobą zdaje się być pani pustynia?

— Pan dzisiaj zbyt dużo chce wiedzieć!

— Rzeczy mirażu, być może. Proszę mi wybaczyć. Słuchajmy tedy, co mówi, a może czego pragnie, pustynia w tej południowej godzinie, największej ze wszystkich dwudziestu czterech w tym kraju.

I znowu zamilkli, czuwając nad tą godziną południową, słuchając jej, czując ją, jak byli zamilkli wtedy, gdy głos nosowy mueddina rozlegał się w modlitewnem wołaniu.

Hrabia Anteoni stał w blasku słońca u białych nizkich sztachet ogrodowych. Domini siedziała na nizkiem krześle w cieniu, jaki rzucało wielkie drzewo dżamelonu. U stóp jej był krzak żywego szkarłatu geranium, od którego dziwnie biało odbijała jej suknia płócienna. W oczach jej cygańskich był blask półsenny, razem marzycielski, a postać jej nieruchoma, ręce spokojne, okryte białemi rękawiczkami, leżące wolno na kolanach, wyglądały oczekująco i razem tęsknie, jak gdyby czar jakiś począł swe dzieło na nią i nie spełnił go jeszcze całkowicie, nie uspokoił jeszcze wszystkich tętn życia, które w niej wezbrały.

Po chwili tego milczenia hrabia Anteoni cofnął się od słońca i siadł w cieniu na krześle obok Domini. Spojrzał na zegarek.

— Jeszcze dwadzieścia pięć minut—rzekł—do przyjścia moich gości.

— Gości?—rzekła Domini z akcentem zdziwienia.

— Zaprosiłem księdza do równej liczby.

— O!

— Pani nierada mu?

— Owszem, lubię go, szanuję.

— Obawiam się jednak, czym pani sprawił tem przyjemność.

Domini spojrzała mu prosto w oczy.

— Dlaczegoś pan zaprosił księdza Roubier?—rzekła.

— Czworo lepsza liczba, niż troje.

— Nie chcesz mi pan tedy powiedzieć?

— Jestem nieco złośliwy. Zgadła pani. Dla czegoż nie miałbym się przyznać do tego. Poprosiłem ojca Roubier, bowiem chciałem widzieć razem człeka, który się modli, z człekiem, który ucieka od modlitwy.

— Modlitwy muzułmańskiej — rzekła Domini.

— Modlitwy—rzekł.

Głos jego, gdy to mówił, był szczególnie szorstki. Zazgrzytał, jak narzędzie po twardej powierzchni. Domini wiedziała, iż tajemnie stał on o wiarę arabską, że ostatnie jej słowa były jak gdyby wyskokiem przeciw religii narodu, który on kochał z dziwną, ukrytą pasyą, której ogień poczynała czuć sama, odkąd lepiej poczęła go poznawać.

Było widocznem ze sposobu ich zachowania, że niedawna znajomość wzbudziła już w nich coś nakształt miłej przyjaźni.

DCN.

TREŚĆ NUMERU 23-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*
Poeta. *Raul Auernheimer.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: **4** rb. rocznie, **2** rb. półrocznie; **1** rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:
Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza. № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie